

B. WARCHAŁOWSKI.

Niesamowity wynalazek -

4

Spojrzałem na zegarek. Dwónasta minut dziewięć godzin zaczynamy. Ociężałe prowadzi astronom Arno po wąskich schodkach na dach. Otulam się w pled i siadam na obitym skórę fotelu przed kominkiem. Ciekawy będzie ten jutrzejszy dzień. Powieki mi ciężą, ciężą, jak ołów. Berta grzebie patykami w dogasającym ogniu. Jej pocziwa, bezmyślna twarz czerwieni się w blaskach zarzewia.

I, z tej to izdebki uderzyć ma w świat grom? Berto, proszę mi dać herbaty i rumu. Niema rumu? No, to daj koniak!

Zalomotało na schodach. Schodzi Arno i Gaublin; napelniają mieszkanie przytłumionym gwarem.

Mój przyjaciel położył mi rękę na ramieniu...

— Trzeba będzie sprowadzić tu dziś jeszcze Zare...

— Powieki mi ciężą coraz bardziej.

* * *

W oknie zajaśniała lekka, blada poświata. Zamajaczyły na stole stosek grubych książek; kontury krzesel zwały się z zaczajonym w kątach mrokiem. Zda się ciepła jeszcze, batystowa koszulka Zary, mieni się tysiącem cieni i fald.

Nie śpię. Za parę godzin.

Niejako teraz dopiero stanąłem „an conrant” szalowego biegu wypadków. Więc dzisiaj, dzisiaj jeszcze zacznie się dla ludzkości epoka... narodziny antychrysta... widzę w imaginacji rozigranej miliony, miliony trupów na tem niemem pobojuwisku. Rzucam okiem na stół. Czarny, dystygowany futerał łyska na mnie jednym jedynym ślepiem klamerki; koło niego, jak wąż wiję się skórzany pasek.

Więc to dzisiaj?

Z ciemnego kąta podpełzła do mnie drżąca, zimna, biała łapa lęku. Wraz z dreszczem musnęła mię po czole, piersi, włosach, zmroziła usta.

W oknie pobielalo. Wyraźnie widzę teraz drzwi do pokoju astronoma i śpiącą, przytuloną do mnie Zare, sylwetkę Arna wyciągniętą na kanapie, nieład... Woni spalenizny wieje od niewygasłego kominka, popiół rozsypany nadaje izbie piętno opuszczenia.

Dreszcz przebiegł po zamarzłych szybach. Budzik na stole zaczął raptem dzwonić, szósta!

Arno automatycznie wstał i zapiał kołnierza. Z drugiego pokoju dochodzi rozgłośnie chrapanie astronoma. Skrzypnęły drzwi i weszła Berta rozczochrana, kołyszająca się jak gęś na zadzie. Wstajemy, budzę Zare.

Mój przyjaciel popatrzał na mnie przeciągle.

— Za trzy godziny zaczniemy, mój drogi!

— Musisz napisać parę słów do ludzi poza pasem zniszczenia. Wyszliśmy telegrafem iskrowym. Musi to być zwięzłe, ostre, rozkazujące. Zawiadam ich, że władzę zwierchnią bierzemy w swoje ręce. Resztę zrobią tam nasi sojusznicy.

— Biorę do ręki ołówki i piszę odezwę po francusku.

Milcząc wziął ją z moich rąk i wsunął do kieszeni.

— Głupie miny robią prefektury policji. Co?

Roześmiałem się trochę nieszczerze.

— Wiesz drogi, gdy myślę o tej masowej rzezi, doznaję jakiejś dziwnej trwogi. Może to wyrzuty sumienia?

Pa'rzał na mnie zdumiony, jakby czegoś nie rozumiał.

— Więc przestań to czuć, Eryku. To przecież zależy zupełnie od twojej woli.

— Co? Ha? nieczyste sumienie?

— Na progu ukazał się astronom w białym. Krople wody spływały mu z włosów. Ten człowiek nie zapomnił dziś o rannym tuszu!

— Nieczyste sumienie? — ryknął — i pan się jeszcze bawi w takie głupstwa? Wyglądał tak, jak by szukał ofiary do partji boksu. Wyszliśmy z Arnem na dach instalować bezpiecznik.

Dmie silna wichura. Zamieć śnieżna nie pozwala sięgnąć okiem dalej niż na sto metrów.

Nie wiem, czy wypogodzi się na tyle, by wysłać radio.

Rozkładamy na małym okrągłym stoliku różne przyrządy.

Wszyscy starają się nie okazywać zdenerwowania.

Zamieć powoli ustaje. Jeszcze godzina.

Arno popatrzał w lunę aparatu, poprawił nachylenie.

— Eryku, o ile nie masz nic przeciwko temu, to aparatem ty będziesz kierował. Ja stanę przy ochraniaczu. François będzie cały czas telegrafował odezwę.

Pamiętaj, że pod wpływem moich promieni, żelazo, znajdujące się na powierzchni, gwałtownie reaguje z wodorem. Może to być nawet ładny widok. O! widzisz? zabłysło słońce. Wszyscy więc idzie nam na rękę.

Spojrzałem. Parę tysięcy stóp poniżej osiadł tuman mlecznej mgły. Naokół piętrzą się szczyty gór. O! widzisz niedaleko stacyjkę i schronisko. Pełnie właśnie pod górę kolejka z turystami. Schodzimy na dół na śniadanie.

III.

Z za gór, z za mgieł, gdzieś z pod obłoków szedł złowróżbny syk. Syczała trawa, syczały i dymyły domy, zmieniając się w bezkształtną kupę gruzów. Od czasu do czasu dawała się słyszeć wściekła detonacja z łona ziemi, a potem znów panował bezlitosny, zjadliwy syk. Ludzie padali, jak muchy, czerniejąc. Krowy, konie, owce oszalałe uciekały w popłochu gnane instyktem w różne strony, ale i ich dosięgał bezlitosny żywioł. Z za pagórków, z za skał wytryskały zielonawe płomyki; wokrag zaległy kłęby dymu i znów gadzi szelest palących się drzew harmonijnie dostraja się do ponurego zjawiska. Na widnokręgach widać było jeno morze skaczących, zielonych ogników. A z gór, z niebotycznych, dumnych gór dochodził łomot kruszących się skał, jakby i pod ziemię wnikała niesamowita potęga.

W dolinach zaległy duszące, gęste dymy.

Z tego rejonu jedna noga ludzka nie wyszła żywa.

* * *

Stałem przy aparacie spokojny, choć pot strumieniami spływał mi z rąk, czoła, choć czułem, jak febrycznie trzęsą się podemną nogi. Mechanicznie oznaczam na mapie pola już objęte zniszczeniem, François śle ludziom straszniejszą jeszcze od zniszczenia wieść.

Z każdą chwilą staje się duszniej. Z trudem oddycham. W uszach mi szumi. Słyszę tylko metaliczne klekotanie radjotelegrafu i przerażający, tytaniczny syk tam... z dołu...

W ulicznych panewkach aparatu skaczą różnokolorowe iskiere. Olbrzymie wklęsłe zwierciadła ochraniacza ociekają od skroplonej pary. Ubranie mam mokre. Atmosfera staje się niemożliwa...

Włacza się Berta straszliwie zmęczona. Skoczyłem, by wziąć od niej wodę. Znów znika w parze z pustymi wiadrami.

Regularuje aparat. Coś popsuło się w zegarze od bezpiecznika. Wskazówka lata dokoła, jak opętana. Widzę, jak Arno z trudem usiłuje ukryć na twarzy przerażenie. Nie sposób powstrzymać aparatu. Momentalnie stalibyśmy się syczącą, bezkształtną masą.

Arno za wszelką cenę musi naprawić zegar. Wołam Zare. Błada, staniająca się, zastępuje go przy bezpieczniku.

Nic nie wie o strasliwym niebezpieczeństwie. Po schodach znów wbiega Berta; stawia wiadra na podłodze i ociera pot z czoła. Arno systematycznie rozkłada części zegara na stole.

Co pół minuty zwracam rękę o jeden stopień kątowny całkiem mechanicznie. W pokoju pary coraz mniej. Kolorowe iskry aparatu powiększają się ciągle. Badam stan bezpiecznika.

Za trzydzieści parę minut o ile Arno nie naprawi zegara — bez apelacji przestaniemy śnieć.

Patrzę na jego ręce i na chronometr. Wypadła mu jakaś sprężynka i zaszyła się w kąt. Coś mną rzuciło. Szukamy jej wszyscy gorączkowo. Arno znów się bierze do składania. Posłałem Bertę, by odwołała astronoma od radjo telegrafu. Nerwy odmawiają mi posłuszeństwa.

Jeszcze piętnaście do ośmnastu minut! Coraz mniej pary w pokoju.

Rączki aparatu rozgrzały się, więc trzymam je przez chustkę.

Znów zwrot o jeden stopień. Wlaź wreszcie François. Spojrzał na zegar, na nasze miny... zrozumiał.

Sprowadza nawpół omdlałą Zare, stałe przy bezpieczniku. Raźniej mi się zrobiło. Arno wreszcie zaczyna składać, zegar. Pedantycznie znikają wnętrzu porozkładane na stole śrubki.

— Arno, na miłosierdzie Boskie! — przedzi!

— Rzucił na mnie złem okiem. Każda minuta wbija mi się w mózg, jak rozpalony drut. Zegar już prawie gotów. Jeszcze dwie czy trzy śrubki.

Berta, widząc niebezpieczeństwo dostaje napadu hysterji. Drze włosy i biega po schodkach tam i z powrotem. Z kanapki rozlega się cichy jęk Zary. Zda mi się, że za chwilę sam będę biegał, jak opętany. Arno z żelazną cierpliwością kończy zegar... wskazówka... szkiełko... Już...

Nie mogę się powstrzymać. Rzucam się mu na szyję. Odrąca mię, wkręca szybko zegar, gorączkowo wlewamy wodę do zbiornika. Zbawcze kłęby pary napelniają pokój. Obracam aparat co trzydzieści sekund o jeden stopień kątowny. Rozradowana Berta biega tam i z powrotem z konwiami.

Resztę dnia i część nocy spędziliśmy w „dolce fare niente”. Kiedy wszyscy usnęli, a z pokoju astronoma rozległo się znów głośnie, chrapanie, Arno przysunął krzesło do kominka i zaczął mi rozstrzywać dalsze plany.

Narazie ludzkość jest dostatecznie sterroryzowana i niepotrzebne by było niszczyć więcej. Musimy się teraz umówić z tymi, których nam tu przysłał. Przedewszystkiem cały półwysp Bałkański ma być w przeciągu paru miesięcy opróżniony. Miasła, fabryki, osady, wszystkie tryumfy cywilizacji (mówił to z ironją), zrównane z ziemią. I tam stworzymy nową siedzibę pierwotnych społeczeństw. Ludzi wybieramy tylko pięknych i zdrowych. Damy im za żony najpiękniejsze kobiety. To będzie pierwsza zdrowa placówka. Ale wątpię, czy wystarczy nasze życie, by zorganizować ustrój doskonały.

Trzymamy jednak wszystkie wodze w rękę. Jesteśmy w każdej chwili w stanie zniszczyć rejon, uznany za niebezpieczny. Zwyciężyć nas może tylko drugi podobny aparat. Na szczęście nie istnieje człowiek, który by znał naszą tajemnicę...

Drgnąłem. Przerażenie zamigotało w moich oczach. Istnieje... istnieje... jest tam gdzieś pomiędzy ludźmi... dziennikarz Oscar Behr... zna konstrukcję aparatu o tyle, że mógł by go wybudować bez wielkich trudności... oglądał plany...

Walczę z myślami, czy powiedzieć mu o tem. Sposrzedzi jednak moje zmieszanie. Przepadło!

— Arno, parę miesięcy temu skreśliłem po bieżnie plan aparatu człowiekowi, który mi za to coś ofiarował...

Nie okazał nawet zdziwienia.

— Tak! ależ on musi zginąć! Czy mógł byś go odszukać?

— Owszem. Mieszka w Berlinie, ulica...

Pojedziesz tam, Eryku. Pojedziesz, nie zwlekając, jutro rano musisz sobie sam z nim dać radę.

Tak. Pojadę. Czy wrócę?... Czuję zimny lęk...

Przecież, zresztą nic łatwiejszego, jak pojechać autem do Berlina.

Arno patrzy na mnie rozsądnie, spokojnie... namyśla się.

Widzę w jego oczach wyrok śmierci...

* * *

Człowiek, który skreślił tych parę kartek, nie żyje.

Zgładził go Arno Hempel w chwili, gdy po dokonaniu morderstwa na dziennikarzu Behrze, wracał autem i dosięgnął już granicy obszarów zniszczonych. Ten sam aparat, którym milionów ludzi pozbawił życia, zamienił go w bezkształtną kupę popiołu.

Eryk Van Ten zostawił po sobie notes, troskliwie przechowywany przez jego kochankę, Zare.

Stanowczo za słabym był ten człowiek, by mógł iść w parze z tym, który ze zniszczenia wyciągnął zapowiedź rodzącej się mocy.

Koniec.